

„Historia mojej małej Ojczyzny. Wspomnienia
o żołnierzach SZP-ZWZ-AK Inspektoratu
Zamość oraz ich powojenne losy”

- Wywiad z moim dziadkiem Czesławem
Wrzyszcem, członkiem A.K. ps. „Pliszka”
- Wywiad z państwem Zuzanną i Józefem Mazur
(również członkiem A.K. ps. „Młody”)
- Fotografie z czasów przedwojennych
i powojennych

Autor:

Anna Wrzyszc kl. II „a”

Gimnazjum im. ks. St. Staszica w Uchaniach

z/s w Jarosławcu

Opiekun: mgr Andrzej Kuśmierczuk

Wywiad z moim dziadkiem Czesławem Wrzyszcem, członkiem A.K. ps. „Pliszka”

Ja: Byłeś bardzo młody, kiedy zaczęła się wojna. Jak wspominasz ten dzień?

Czesław Wrzyszc: Miałem 12 lat, kiedy zaczął się ten „horror”. Tego dnia – 1 września, jak wielu ludzi ze wsi byłem z moimi rodzicami na łące, bo trwały sianokosy. Kończyliśmy już zgrabianie siana, kiedy zobaczyliśmy, że ze strony Hrubieszowa na niebie pojawia się dużo jakichś dziwnych obiektów, niczym wron. Były to samoloty.

J: Jaka była wasza reakcja?

C.W.: Ludzie przestraszyli się, zaczęliśmy uciekać do domów.

J: Co działo się dalej?

C.W.: Zaczęły się najazdy Ukraińców na naszą wieś. Łapano ludzi i wywożono do tzw. obozów przejściowych, a na ich miejsce nasiedlano ludność ukraińską...

J: Udało im się Ciebie złapać?

C. W.: Ja miałem szczęście. Uciekłem. Niestety, złapali moją babcię. Tych, których zapakowali na wozy, wywozili do Zamościa, za druty i tam dokonywano selekcji: zdolni do pracy wędrowali na roboty do Niemiec, a tych starych porozwozili na różne stacje i tam zostawiali ich bez opieki. Tak jak właśnie moją babcię – Józefę.

J: Co potem stało się z babcią?

C.W.: Zostawili ją na stacji „Mordy”, w siedleckim. Tam ludność polska z litości, wносиła tym starcom żywność. Mój wujek, który miał „dobre dokumenty” i mógł bez przeszkód się poruszać, zaalarmowany przez swoich znajomych z tej właśnie miejscowości, pojechał po babcię. Razem z żoną „doprowadzili ją do porządku”, bo była brudna, zaniedbana, zawszona. Po jakimś czasie ze Skarżyska Kamiennej przywieźli ją do domu. My też nie mieszkaliśmy w swoich domach. Ludzie pomagali sobie jak mogli, na tych gorszych gospodarstwach, nienasiedlonych, przyjmowali, kogo się dało. Dopiero po jakimś czasie, gdy zaczęli brać czynny udział w walce z okupantem, robiło się coraz luźniej. Musiałem

wyjechać do Skarżyska Kamiennej, bo przeprowadzano łapanek. Tam znajoma mojego wujostwa – Polka z poświęcenia, pomogła mi wyrobić dokumenty. Dzięki temu mogłem spokojnie przetrwać.

J: Co się działo potem?

C.W.: Kiedy doszły do mnie wieści, że jest już coraz więcej polskość, wróciłem do rodziców. Niestety, w naszym domu byli nasiedleni Ukraińcy i musieliśmy mieszkać gdzie indziej. I tak jakoś dotrwaliśmy do końca, aż przyszło wyzwolenie, ale nie było łatwo. Różne prześladowania...

J: Odnośnie prześladowań, w czasie wojny ludność żydowska była szczególnie prześladowana. Wspominałeś kiedyś, że pomogliście pewnym Żydom. Jak to było?

C.W.: W tamtych czasach faktycznie nie było im łatwo. Miałem w klasie kolegę, nazywał się Rubin Szafran. To była sobota. Moja mama piekła właśnie w piecu pierogi. Kiedy poszła do obory wydoić krowy, zobaczyła, że ktoś leży w słomie. Jak się okazało był to Rubin ze swoim ojcem. Mama powiedziała im, żeby weszli do domu, zjedli coś, odpoczęli. Szafranowie bali się wyjść z ukrycia, ale musieli w końcu to zrobić. Twoja prababcia poczęstowała ich świeżymi pierogami i ruszyli w dalszą drogę. Udało im się uciec z kraju. Kilka lat po wojnie twoja babcia zachorowała. Lekarstw nie można było dostać w Polsce, więc przypomniałem sobie o Szafranie, który wyjechał do USA. Udało mi się zdobyć jego adres i napisałem do niego list z prośbą o pomoc. Po niespełna 14 dniach otrzymaliśmy paczkę z lekarstwami i dołączonym listem. Rubin pisał: „Pamiętam o tym pierogu z makiem i ciepłym kącie. Jeżeli coś będzie wam kiedyś potrzeba, piszcie. Wszystko przyślę”. Gdyby nie jego pomoc nie wiadomo, co stałoby się z Władką.

J: Wiele razy również ty byłeś w niebezpieczeństwie. Należąc do Armii Krajowej musiałeś bardzo uważać. Opowiedz, jak to było?

C.W.: Należałem do Armii Krajowej, do 27 Dywizji Wołyńskiej Okręg Zamość. Dywizja brała czynny udział w walce z okupantem. Właśnie wtedy, kiedy ludność powiatu hrubieszowskiego była wysiedlana. Najbardziej pamiętam jedną akcję. W Białowodach był folwark, kilka kilometrów od nas. My byliśmy w lesie, ukrywaliśmy się. W tym miejscu było tzw. dowództwo naszego oddziału. Niemcy chcieli je zlikwidować i zaczęli nacierać na ten folwark. Gdy usłyszeliśmy strzały, rozkazano nam iść z pomocą „naszym”. Trafiliśmy w sam środek starcia. Przed nami było kilku „wrogich żołnierzy”. Wykorzystując fakt, że znaleźliśmy się z tyłu nich, otworzyliśmy do nich ogień. Oni widząc, że nie dadzą nam rady wycofali się w popłochu, zabierając karabin maszynowy. Ponieważ byliśmy w dość widocznym miejscu ostrzelali nas i wrócili do Uchań, gdzie znajdowała się baza tzw. „Urszulców”. Udało nam się obronić siedzibę A.K.

J: Dziękuję Ci, że poświęciłeś mi chwilę i opowiedziałeś tą ciekawą historię.

C.W.: Nie ma za co.

Wywiad z państwem Zuzanną i Józefem Mazur (również członkiem A.K. ps. „Młody”)

Ja: Dzień dobry Państwu. Czy zgodzą się Państwo opowiedzieć kilka swoich wspomnień z czasów II wojny światowej?

Józef Mazur: Oczywiście, nie ma problemu.

J: W czasie, gdy okupanci wkroczyli na teren Polski, byli Państwo jeszcze dziećmi. Jak to wspominać?

Zuzanna Mazur: Miałam 6 lat. Dotąd nie mogę uwierzyć, jaka byłam odważna. Wielu rodziców dzisiaj nie zostawiłoby swoich dzieci u obcych ludzi, a samych poszłoby walczyć. Tak właśnie zrobił mój tata. Był partyzantem, więc należał do tych, którzy w dzień się ukrywali, a w nocy pilnowali wsi. Kiedy miałam 8 lat, tata zaprowadził mnie na drugi koniec wsi do obcych ludzi. Często musiałam spać na słomie z wieloma innymi dziećmi i uciekać.

J: Jak to było z tymi ucieczkami? Ukraińcy was ścigali?

Z.M.: Wiele razy. Pamiętam taką sytuację. Moja mama poszła doić krowy razem z panią Zającową. W tym czasie najechali Ukraińcy. Pilnowałam synka pani Zającowej – Henia. Nie wiedziałam, co mam robić, ludzie zaczęli uciekać, więc i ja wzięłam małego za rękę i siłą ciągnęłam go za wszystkimi. W pewnej chwili każdy rozbiegł się w różnym kierunku. Zostałam sama z Heniem. Bałam się, a on płakał, przewracał się. Szliśmy przez pola, żyto, pszenicę aż w końcu doszliśmy do drogi, którą jechał pan Wrzyszczy ze swoją rodziną. Uciekał do drugiej wioski, krzyknął: „Siadajcie do nas.” Zawiózł mnie, Henia i swoją rodzinę na Majdan Wielki, kilka kilometrów od Drohiczan. Usiedliśmy potem pod drzewami i płakaliśmy, bo nie wiedzieliśmy, co się dzieje z naszymi mamami, czy je zabili czy wywieźli? W końcu przyszły po nas, ale dostało się nam za tę „ucieczkę”.

J: Czy pamięta Pani jakieś inne, podobne sytuacje?

Z.M.: Było ich kilka. Kiedyś musieliśmy uciekać z wujostwem, sąsiadami oraz krowami na Dębinię. Ukryliśmy się w szopie. Tam też moja mamusia i pani Zającowa zaczęły doić krowy. Ledwie skończyły pracę, usłyszeliśmy,

że jadą Ukraińcy. Świeże mleko w popłochu moja mama jednym ruchem wylała na podłogę. Uciekliśmy do lasu, a tam byli partyzanci. Mówili, że w Białowodach są Ukraińcy. Całą bandą przez pola biegli tam i strzelali. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jakie to niebezpieczne. Byłam mała i wierzyłam, że mój tata – partyzant, przegoni złych ludzi.

J: Pani tata należał do partyzantki. Jak wy – Pani mama i Pani dawałyście sobie radę z myślą, że w każdej chwili może zginąć?

Z.M.: Mój tatuś był prawdziwym patriotą. Kiedyś, aby uniknąć wysiedlenia ludzie zmieniali obywatelstwo. Jedni „przepisywali się” na Ukraińców, a kto tego nie zrobił, to musiał uciekać. Tak jak mój tata. Później uciekliśmy do Hrubieszowa i tam przetrwaliśmy jakiś czas. A co do życia kobiet. Nie było łatwo, ale w tamtych czasach życie każdego człowieka było zagrożone. Ja, jako córka partyzanta nie miałam lekko. Kiedyś podczas najazdu UPA, nie zdążyłam uciec do lasu. Ukryłam się u mojej sąsiadki. Urszulcy wpadli do naszego domu, zabrali wszystkie rzeczy, a potem przyszli do pani Guzowej i mówili: „Tu jest Halickiego córka”. Sąsiadka zaprzeczyła: „Nie, tu są tylko moje dzieci”. Chodziło im o mnie. Chcieli zabić mojego ojca i wymyślili sobie, że wezmą mnie na zakładniczkę, ale dzięki Bogu pani Guzowa mnie uratowała. Partyzantów mieli za bandytów. Już po wojnie, gdy Niemcy zaczęli się cofać, wyłapali ich i zabili. Mój tata przeczuwał śmierć. W przeddzień czuł, że stanie się coś złego. Miał rację. Sowietci podpalili kilka domów, partyzanci zaczęli uciekać. Złapali ich i rozstrzelali. Potem widziałam tylko dwie rany od kul między oczami na ciele mojego taty.

J: Mężczyźni na ogół mieli ciężko w tamtych czasach. Panie Józefie, jak Pan wspomina lata wojny?

J.M.: Ja, że tak powiem, byłem celem Ukraińców. Miałem karabin, więc mnie ścigali. Kiedyś uprzedzili mnie ludzie ze wsi, że Urszulcy jadą. Wybiegłem z domu, a oni do mnie krzyczą z daleka: „Stój!”, a ja w nogi. Pobiegłem na łąki, strzelali za mną. Udało mi się uciec, ale to mnie nie przeraziło tak, jak troska młodych ukraińskich dziewcząt, nasiedlonych w Drohiczanach, krzyczały do nich: „Nie strzelajcie bandyci!”. Bały się o mnie, bo byłem ich kolegą, mimo tego, że ja – Polak, a one – Ukrainki, lubiliśmy się.

J: Złapali Pana kiedyś?

J.M.: Niestety tak. I zabili za mnie ojca. Złapali mnie na polu. Matka z ojcem przybiegli szybko. Jeden z Ukraińców zapytał mnie tylko, kto to jest. Powiedziałem, że tata. Oni bez chwili namysłu powiedzieli: „Stary albo młody, wybierajcie”. Wzięli ojca. Zabrali konie i odjechali. Gdy tylko wchodziliśmy do domu, usłyszeliśmy strzały. Wiedziałem, że właśnie zginął mój tata. Ukraińcy to uparty naród. Strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Nawet kiedyś nasz miejscowy poeta – śp. Wincenty Mydlak ułożył

piosenkę o Drohiczanach, którą znała na pamięć cała wieś. Zaczynała się mniej więcej tak:

„Przyszła klęska przeklętej Ukrainie,

Już dosyć morderstwa i strat!

Polska wiara zakwitła wraz z wiosną

I naciera wciąż fest a fest.

Przyszedł goniec z meldunkiem o „rezunach”,

Że jak byki podchodzą ku nam,

My Drohiczan nie damy opustoszyć,

*Choć nas garstka, lecz k***a ich mać!*

My z zapalu powstrzymać się nie możemy,

Bo minuta godziną nam jest,

Musim czekać na rozkaz dowódcy,

Który pod Drohiczanami jest...”

J: A jak w czasie wojny radziliście sobie z codziennymi problemami?

J.M.: Chociaż było ciężko, to trzeba było sobie jakoś radzić. Żniwa, wykopki i inne prace polowe, nie mogły być odłożone. Chociaż nie było tak, jak jest w dzisiejszych czasach, ale ludzie się nie poddawali.

Z.M.: Były wprawdzie niewielkie opóźnienia. Kiedy zabili moją tatę, tj. w maju, u nas ziemniaki nie były jeszcze posadzone. Każdy pomagał sobie, jak tylko mógł. Pamiętam, gdy tylko zaczęła się wojna, na początku września, przez Drohiczany na koniach i z błyszczącymi bagnietami maszerowało wojsko. Było liczne. Żołnierze szli walczyć o wolność. Tak strasznie żał było mi tych głodnych chłopców, którzy błagali, choć o odrobinę chleba. Ludzie wynosili wszystko, co tylko mieli w domu do jedzenia. Do dzisiaj mam przed oczami tych żołnierzy, jadących na karych koniach przy zachodzącym słońcu. Bezcenny widok.

J: A jak to było z wysiedleniem? Musieliście się przenieść?

J.M.: Różnie to było. Jedni musieli, inni nie. Moja znajoma opowiadała, że gdy wysiedlano Rozkoszówkę, to ludzie dali Ukraińcom skrzynkę wódki, ci się upili, a ludzie na furmankach mogli spokojnie uciekać. U pewnych ludzi w Skibicach, podczas wysiedlania, zjawił się jakiś wyjątkowo dobry żołnierz. Pozwolił rodzinie schować się na strychu, a do swoich współpracowników powiedział, że w tym domu nikogo nie ma. Ale nie każdy miał dobre serce. Powszechnie uważano, że UPA zabija tylko tych, którzy uciekali. Jednak tak nie było. Wujek mojego kolegi rozrzucił obornik w polu. Przyjechali Ukraińcy i „bez pardonu” zadźgali go bagnietami, dlatego ja nigdy nie rzuciłem broni. Nawet wtedy, kiedy wymagała tego sytuacja. Kiedyś szliśmy drogą - ja, kilka lat starszy ode mnie chłopak, który był wojskowym i jeszcze paru kolegów, ale tylko my dwaj mieliśmy broń. Gdy on zobaczył, że zbliżają się Urszulcy, zaczął krzyczeć, żebym zostawił karabin i lepiej się poddał, bo oni nas zabiją. Chociaż był starszy i bardziej doświadczony niż ja, to miał mniej odwagi. Nie miałam zamiaru oddać broni i kazałem reszcie iść dalej. Cały czas słyszałem od tego kolegi, że to jego najpierw zabiją, bo jest wojskowym. Nie poddałem się. Ukryłem się za miedzą na polu i zacząłem strzelać. Ukraińcy też rozpoczęli ostrzał, ale na szczęście było ich niewielu. Z drugiej strony, tam gdzie dziś jest stodoła Toporowskiego, też rozległy się strzały. Kilku mieszkańców Drohiczan, którzy usłyszeli, co się dzieje, postanowili nam pomóc.

J: Ponoć kiedyś w naszym kościele parafialnym była kryjówka UPA?

J.M.: Tak, to prawda. Mądrze to sobie wymyślili. Zrobili tunel między kościołem a plebanią. Mówili: „Polacy kościoła nie napadną”. Mieli rację. Za każdym razem, kiedy próbowano ich stamtąd wypędzić, tunelem dostawali się do kościelnych podziemi i tam nic nie mogliśmy im zrobić, a z zewnątrz przejście było praktycznie niewidoczne, bo ponakrywane deskami i warstwą trawy.

J: Dziękuję, że zgodzili się Państwo udzielić mi wywiadu.

Z.M.: To nam miło, że młodzież interesuje się wojną. Do widzenia.

Fotografie z czasów przedwojennych .



Rodzina Wrzyszców.





Rodzice dziadka Czesława Wrzyszcza.



Mój dziadek Czesław Wrzyszcza.



Kościół w Uchaniach w 1935 roku.